

Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Z DZIEJÓW
OŚWIATY

BM.103.079

2

Red 7/31

HELENA CEYSINGERÓWNA

TAJNA SZKOŁA
W WARSZAWIE
W EPOCE CARATU

Z PRZEDMOWĄ
KAROLA KLIMKA

XVIII



N A S Z A K S I Ę G A R N I A



Z DZIEJÓW
OŚWIATY

BM.103.079.

2

Rec 731

HELENA CEYSINGERÓWNA

TAJNA SZKOŁA
W WARSZAWIE
W EPOCE CARATU

Z PRZEDMOWĄ
KAROLA KLIMKA

XVIII



N A S Z A K S I Ę G A R N I A

Z D Z I E J Ó W O Ś W I A T Y
Nr 2

049p/2

HELENA CEYSINGERÓWNA

TAJNA SZKOŁA W WARSZAWIE
W EPOCE CARATU

PRZEDMOWA
KAROLA KLIMKA



N A S Z A K S I Ę G A R N I A
WARSZAWA 1948

32842/2



WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej

Nakład — 3300.
Papier — ofset. 71 × 100 cm, 70 gr.
Objęt. druku — 2½ ark.
Wyszło z druku — w kwietniu 1948 r.

19.III.1948. — B-35.678.

Zakł. Graf. Inst. Wyd. „Nasza Księgarnia“, W-wa, Smulikowskiego 4.
Nr zam. 119.



Ć E C Y L I A Ś N I E G O C K A



PRZEDMOWA

Niezlomna, bohaterska Warszawa w swojej historii nie mało posiada kart wymownie świadczących o jej niezwykłości. Z życiem Warszawy związanych jest wiele niepospolitych postaci, wysoko wybijających się czynami swymi. Tu w okresie niewoli, w czasach kiedy „nadzieja załamywała ręce”, zjawiały się silne charaktery i w niesłychanie ciężkich warunkach podejmowały pracę i walkę w imię odrodzenia i podźwignięcia narodu.

Taką niepospolitą postacią w historii Warszawy była Cecylia Śniegocka, inicjatorka, organizatorka i kierownicza Tajnych Szkół w czasie niewoli (1894 — 1906 r.) Na kartach dziejów walki o szkołę polską postać Śniegockiej urasta do rozmiarów symbolu niezłomności i natchnienia. W Polsce Niepodległej Warszawa uczciła pamięć i zasługi tej działaczki dając jednej z ulic Powiśla nazwę jej imienia.

Drukując tę książeczkę, o charakterze wspomnieniowym, pragniemy dzisiejszemu społeczeństwu przybliżyć postać Śniegockiej, pokazać ją przy gigantycznej pracy, pełnej niebezpieczeństw, podkreślić jej wielką, niezłomną wolę i przekazać przyszłym pokoleniom jej czyny nie przemijające.

Tajne Szkoły Cecylii Śniegockiej powstały w ostatnim dziesięćciu lat XIX wieku z natchnienia jej przewodniczki ide-

owej Kassylidy Kulikowskiej, jednej z trzech kobiet (Kassyla Kulikowska, dr Teresa Ciszewiczowa i Stefania Sempołowska) tworzących sztab „Koła Kobiety Korony i Litwy” — owej pierwszej, tajnej organizacji kobiet w dobie głębokiej depresji i upadku ducha po powstaniu 1863 r.

Cecylia Śniegocka zmarła na kilka lat przed ostatnią wojną, nie zostawiając żadnych pamiątek odnoszących się do jej prac w Tajnych Szkołach. Wojna i powstanie Warszawy starły resztki śladów w postaci pewnych materiałów. Trudno było pogodzić się z myślą, że nikt już nie odtworzy historii Tajnych Szkół i że wspomnieniem tych czynów nie zostanie zapisana jeszcze jedna dumna karta historii Warszawy.

Postanowiłem jednak za wszelką cenę szukać. Może jeszcze gdzie żyją, tylko niechybnie rozproszone po kraju, ostatnie Mohikanki — uczestniczki Tajnych Szkół Śniegockiej. Odzukać i zebrać kartki wspomnień, które mówić będą o pięknej epopei minionych lat.

Los okazał się łaskawy. Po długich wprawdzie poszukiwaniach udało mi się ustalić miejsce popowstaniowego pobytu w Bytomiu najbliższej współpracownicy Cecylii Śniegockiej — Heleny Ceysingerówny, znanej pisarki i publicystki. Tam skierowałem moją prośbę o opisanie sylwetki Śniegockiej, obrazującej zarazem historię Tajnych Szkół. Mimo ciężkich warunków zgodziła się chętnie. I oto powstała rzecz, którą oddajemy społeczeństwu.

Historyk czy badacz dziejów kultury narodu, nauczyciel czy oświatowiec — każdy powinien zapoznać się z tą książeczką, opisującą działalność i warunki, w jakich prowadzone były Tajne Szkoły. Z ogromnego trudu i ofiary Śniegockiej oraz jej towarzyszek pracy wyrosły siły, które niewątpliwie do dzisiejszego dnia ożywiają ducha ludu Warszawy. Bo siew taki jest nieśmiertelny.

Karol Klimek

Pewnego dnia podczas wystawy lwowskiej, w r. 1894, poszłam odwiedzić Wysłouchów spodziewając się, że u nich zastanę, jak zwykle, interesujących ludzi z Warszawy, może z zagranicy... Zastałam, istotnie, kilka pań z Warszawy: imponującą powagą i wolą Kassylde Kulikowską, wysoką, piękną jeszcze, choć już siwowłosą, dr Teresę Ciszkiewiczową, malutką, szczupłą, o promiennym czole i oczach, piękną, a znaną mi już dawniej Stefanię Sempołowską, początkującą literatkę, ale już uznaną powszechnie za zdolność pierwszorzędną Józefę Ostoja-Sawicką i Cecylię Śniegocką. Ta ostatnia przykuła do siebie moje oczy, tak że przez cały czas wzroku oderwać nie mogłam od jej twarzy i postaci. Wysokiego wzrostu, bardzo szczupłą, brunetka, nos wydatny, rasowy i oczy czarne, głębokie otchłanie smutku. Ten smutek to nie była nuda zabijająca, stała. Czuło się, że te oczy umieją śmiać się i marzyć, i zachwycać, płonąć zapalem, w ogóle odbijać potężnie każde wrażenie. Ten smutek musiał mieć powód aktualny! Jak mnie później wyjaśniła Wysłouchowa, powodem tym był groźny stan wspólnej ich przyjaciółki Kassylidy Kulikowskiej, chorej na serce, której lekarze nie wróżyli ponad kilka dni życia. Dlatego to „jeziorowe oczy” Śniegockiej, mówiąc poetycznym stylem Wysłouchowej, miały w sobie taki niezgłębiony smutek, pełne były takiej nieuleczalnej rozpacz. Istotnie w kilka dni potem Kassylida Kulikowska, która wtedy wydawała się

zupełnie zdrowa, umarła prawie nagle. Pęknięcie aorty! Tu przyjechała po tę śmierć, przyspieszoną nadmiarem wzruszeń patriotycznych, entuzjasmów wyniszczających, wstrząsów, których już to serce wytrzymać nie było w stanie.

Nie wiedziałam wówczas, że to kółko, które zastałam w domu Wysłouchów, to była elita, elita kobiecego świata ówczesnej Polski. Przypadkowe to zgromadzenie, nie wyłączając Marii Wysłouchowej, znanej działaczki oświatowej i politycznej wśród ludu Galicji, a może najbardziej utalentowanej z nich wszystkich, stawiało mi nagle przed oczy to, co było najgorętszego, wśród mroźnej atmosfery niewoli i klęski narodowej, tych kilka nieustraszonych dusz kobiecych, które bogdaj przeważały w końcu szalę egoizmu, bezdusznosci, podłości i strachu. Kassylda Kulikowska, Teresa Ciszkieviczowa, Stefania Sempołowska był to sztab „Koła Kobiet Korony i Litwy”, pierwszej po powstaniu 1863 roku tajnej organizacji kobiecej.



Syte wrażeń podniecających, wzbogacone wiadomościami o ludziach i czynach Polski Podziemnej wracałyśmy do Warszawy tej pamiętnej jesieni r. 1894, a na granicy symboliczna aż prawie postać żandarma carskiego wskazywała nam drogę obowiązku. Śniegocka, jak słyszałam, przeholowała i przechorowała ciężko śmierć umiłowanej przyjaciółki i przewodniczki duchowej. Wróciła zgaszona, ale z poczuciem, że zmarła, z zaświatów, wzywa ją do pracy. Tę pracę nieraz omawiały i obradowały nad nią wspólnie: ogarnąć całą Warszawę siecią tajnych szkółek, dać każdemu dziecku polskiemu możliwość kształcenia się! Z niewyczerpanych pokładów ludu polskiego zaczerpnąć nowych sił, nowych zdolności, nowych ludzi, którzy by godni byli niepodległości i umieli ją wywalczyć!

To były ideowe hasła tego przedsięwzięcia, chodziło o to, jak je wykonać. Nie była Cecylia Śniegocka nowicjuską zupełną w tej dziedzinie. Przez dwa lata, z najlepszym powodzeniem, prowadziła tajną szkołę w Otwocku, dokąd ją po pobycie wieloletnim w Meranie, na Riwierze, w Szwajcarii, jako nieuleczalną gruźliczkę, zesłali lekarze warszawscy. Tam pod hamak jej, na którym leżała bezsilna, podchodziło dwoje dzieci i zabawiało się trącaniem jej głowinami swymi i wprawianiem w ten sposób hamaka w ruch. Nieuleczalna suchotnica miała poczucie humoru i lubiła dzieci. Roześmiała się. Kto wie, może ten śmiech ją ocalił, bo od tej chwili poczuła się lepiej i zaraz przyszły myśli, żeby te dzieci uczyć, żeby nie pozwolić im się zmarnować w analfabetyzmie... Myśli-lekarki... Reszty dokonała cudowna gleba Otwocka, zapach po gański jej sosen, prastarej ziemi Mazowsza wiecznie żywy cud. Nieuleczalna pacjentka zwyciężyła chorobę, zwyciężyła śmierć. Ale lekarze nie pozwalali jeszcze wracać do Warszawy, jeszcze zalecali kilkoletni pobyt w Otwocku. Trzeba było się czymś zająć. Więc szkoła! Nie jest to zajęcie bardzo odpowiednie dla chorych na płuca. A jednak nie zaszkodziło. Nie zaszkodziło spędzanie kilku godzin dziennie wśród gwaru czterdzieściorga dzieci, które, trzeba przyznać, z każdym dniem cywilizowały się i uczyły zachowywać się spokojniej i przystojniej.

Tu odwiedzali Śniegocką jej krewni i przyjaciele. Czas jakiś nawet przebywała z nią stale jej matka, mąż, inżynier melioracyjny, w chwilach wolnych od pracy, tu odwiedzała ją i utwierdzała w zamiarach oświatowych Kassylda Kulikowska. Bo ta nauczycielka z powołania szczególną rolę odegrała w kształtowaniu się psychiki Cecylii Śniegockiej.

Myliłby się bardzo, kto by sądził, że Śniegocka była zawsze działaczką społeczną, nie dbającą o stroje i blichtry życia. Przeciwnie! We wczesnej młodości była światową damą, lubi-

ła ubierać się, lubiła zabawy, tańce, a że miała cudny, altowy głos, więc kształciła się na śpiewaczkę. Aż nagle krwotok podczas śpiewu! Ruina marzeń o sławie artystycznej, a zamiast estrady czy sceny — sanatoria, lekarze i widmo śmierci...

Podczas którejś z przerw w kuracji zagranicznej poznaje u przyjaciółki swojej, Jadwigi Krausharowej, Kassylę Kulikowską. I, olśniona, oddaje jej swe uwielbienie. Ona jest tą Egerią, która młodą kobietę odrywa od próżności światowych, a wprowadza w wiecznie krwawiący krąg tragedii narodu. U niej poznaje ludzi wracających z Syberii, steranych ciałem, a młodych wieczną młodością i gotowych do nowych poświęceń. Pod jej wpływem przemienia się, przeistacza i za to płaci jej uwielbieniem bez granic. Już raz w życiu uległa takiemu oddziaływaniu. Jako podłotek, oddana na tajną pensję Włoszkowej, jednej z ostatnich entuzjastek z klanu Narcyzy Żmichowskiej, od niej brała pierwsze lekcje patriotyzmu (dom nie był patriotycznie usposobiony) i tam poznała wpływ tajnej szkoły. Włoszkową tak samo uwielbiała niegdyś, jak później Kulikowską. A kto by chciał zapoznać się z wcześniejszym jeszcze stadium rozwojowym późniejszej działaczki wśród ludu Warszawy, niech patrzy w cudowne zwierciadło przeszłości, w którym, wedle nauki teozofów, odbite są na zawsze wydarzenia wielkie i małe, a ujrzy dziewczynę-wisusa, jak w tajemnicy przed matką, osobą wielce dystygowaną (z Jełowickich Więckowską), ślizga się na wyścigi z ulicznikami warszawskimi po rynsztokach ulicy Ogrodowej, gdzie Więckowscy mieli domek własny. Tylko migają jej długie nogi, tylko rozlega się wesoły jej śmiech! Może stąd takie jej rozumienie dzieci warszawskich, może stąd taka jej z nimi zażyłość. Wreszcie na zakończenie: miejsce i okoliczności urodzenia. Podczas jednej z burzliwych i tragicznych chwil r. 1862, gdy Kozacy gnali galopem ulicami miasta, padały strzały, świ-

stały nahajki w powietrzu, matka jej, uciekając przed tym zamętem, zdjeta bólami, w bramie domu jakiegoś na Nowym Świecie urodziła przedwcześnie dziewczynkę, która potem zapisać się miała na kartach dziejów Warszawy niezatartym, w dalekie pokolenia sięgającym wspomnieniem.



Nielatwe zadanie podjąć miała Śniegocka. Utworzyć tajną szkołę w Warszawie! Pieniądzy na to trzeba było przede wszystkim, a ona ich osobiście nie miała. Dosyć duże dochody jej męża nie wystarczyłyby na pokrycie takich wydatków. Wiedziała, że trzeba będzie odwoływać się do ofiarności publicznej. A tu ofiarność, na taki cel, Boże, zlituj się! Wszak jeszcze królował nad umysłami program „pracy organicznej”, a program ten nie obejmował oświaty tajnej, wykluczał ją raczej jako środek rewolucyjny. Wszak stronnictwem panującym nad nastrojami społeczeństwa było stronnictwo ugodowe. Wiedziała, że będzie miała ich wszystkich przeciwko sobie.

Wiedziała, że fala panicznego strachu nie odpłynęła jeszcze z niw polskich po r. 1863, że dygotało serce przeciętnego obywatela na myśl o więzieniu rosyjskim, rosyjskim żandarmie, rosyjskim szpiegu i policjancie. Ten strach ogólny to była przeszkoda, która piętrzyła się jak góra niebotyczna na drodze do jej celu. Trzeba było tak zorganizować, tak postawić tę robotę, żeby się nie „wsypała” zaraz z początku. Pierwsza „wsypa” podetnie jej nogi. Już zjednani dla tej myśli, rozlecają się jak liście jesienne po wszystkich drogach tej nieszczęsnej ziemi.

O tym, jak wykonać swój zamiar, myślała chodząc po Alejach Ujazdowskich tej pamiętnej jesieni r. 1894. Bo nie o tym — czy? To było już postanowione. Warszawa musi mieć

tajną szkołę. Bo nie może mieć jawnej. Wielkie, nowożytne miasto, leżące w środku Europy, pozbawione szkół! Bo przecież... tych kilkadziesiąt miejsc, gdzie się oglupia, nie oświeca lud, gdzie uczy się dziecko przez kilka lat i wychodzi nie umiejąc ani czytać, ani pisać nie tylko po polsku, ale nawet i po rosyjsku, miejsc zwanych w języku Warszawy „szkolami rządowymi” w ogóle, bez względu czy są utrzymywane przez miasto, czy przez rząd nie ma co brać pod uwagę. To nie są szkoły! Znęca się w nich nad umysłami dzieci polskich nauczyciel łapownik, pijanica, demoralizator, zwykle wypędek z Ro-eji, w najlepszym razie nieuk. Ale i te złe szkoły nie są w stanie ogarnąć dziesiątej części potrzebujących nauki, dzieci rzemieślników i robotników warszawskich. Rozbudzony w tym czasie przemysł ściąga tysiące synów chłopskich ze wsi do miast, a ludzie ci, choć sami analfabeci przeważnie, rozumieją potrzebę oświaty, chcą jej, żądają jej dla dzieci swoich.

Ale czymże są ich żądania wobec woli carskiej ściągnięcia Polski i jej kultury na poziom wielkorosyjskiej ciemnoty i zdziczenia? Więc tłumy dzieci biegają beczynn timer warszawskich śmietnikach, tłumy ich wałęsają się na pobrzeżach wiślanym, na gliniankach i pustkach przedmieść; nie obce im są występki i zbrodnia; tam spotykają się z ich mistrzami. To jest ich szkoła — jedyna! Bezcenny skarb przyszłości narodowej wyrasta na handytów i prostytutki! To wszystko były ustalone już pewniki, to wszystko była ropiejąca wciąż rana, doskwierająca jak srogi ból.

Chodząc po Alejach Ujazdowskich obmyślała przyszła Kierowniczka Tajnego Nauczania przede wszystkim zasady organizacji. Program bowiem był gotowy, wzorowany po trosze na szkole galicyjskiej. Opracowały go najlepsze nauczycielki z Koła Kobiet, zarówno jak wskazówki metodyczne. Najtrudniejszą rzeczą było, jak zakonspirować tę tajną pracę oświa-

tową, jak ustrzec przed niedyskrecją dzieci, rodziców, nauczycielek, wreszcie samych członków Towarzystwa, tak dbałych o to, by nie zapisywać ich nazwisk. Naprawdę — tysiące wtajemniczonych!

Te dni, poprzedzające zebranie, na którym miała przedstawić swój zamiar poważnemu gronu znanych w Warszawie i szanowanych obywateli i żądać ich pomocy, należały do cięższych w jej życiu. Wpatrzona w przyszłość, starała się ją odgadnąć, a duch ukochanej przewodniczki był z nią.

Doszło wreszcie do owego zebrania. Poproszono ludzi zaможnych, dla których nie było rzeczą trudną wyłożyć kilkadziesiąt rubli na rok, poproszono uczonych historyków polskich: Wł. Jabłonowskiego, T. Korzona, by mocą, jaką daje nauka, pobłogosławili przedsięwzięciu; nie brak literatów, dziennikarzy, lekarzy, adwokatów. Przedstawiła im Śniegocka swą koncepcję Tajnej Szkoły taką, jaką wypracowały razem z Kulikowską, jaka rysowała się już wyraźnie w jej myśli... I oto... potępił ją zgodnie wszyscy z wyjątkiem paru skromniejszych, nie nie znaczących ludzi. Bo strach był wielki, brak wiary w jakikolwiek czyn, w kobiece siły. „Za dwa tygodnie będzie „wsypa”, dostaniecie się wszyscy do kozy—prawił Korzon — powiększycie zastęp bezpotrzebnych, jałowych ofiar, i nowy strach padnie na to nieszczęsne społeczeństwo”. A po cichu mówili: „Ot, babskie fantazje! Bohaterkami im się być zachciało!”

Trzeba było siły woli niemało, niemało przekonania, że się ma słuszość, by iść drogą swoją wybraną, pomimo że głos pierwszy z ust człowieka w tej sprawie był „krzykiem strachu”. Śniegocka poszła nie oglądając się za siebie. Kilku ludzi, kobiet przeważnie, zadeklarowało jej płacić składkę miesięczną, kilku Żydów, „mechesów”, jak zwano wówczas tych zasymilowanych, prosiło, by ich zapisać na członków Towa-

rzystwa. Między nimi młody lekarz, dr Antoni Natanson w imieniu swoim i swojej kuzynki, Antoniny Natansonówny, najbogatszej panny w Warszawie, przyrzekł pomoc swoją w ciężkich dla instytucji chwilach. I co ważniejsze, nie zawiódł nigdy. Nauczycielki przyrzucały bezpłatną pomoc. Tego wszystkiego niewiele było. Ale trzeba raz zacząć. Właściwie początki już były. Funkcjonowało już parę kompletów dzieci: na ulicy Złotej, na Bednarskiej. Uczyły w nich Jadwiga Trzcńska i Ludwika Trzcńska.

Pamiętam moje wrażenie, gdy Śniegocka zaprowadziła mnie pierwszy raz do takiej tajnej szkoły. Było to na Złotej pod 63. Ubogie mieszkanie rzemieślniczej rodziny, przy stole, w ciasnym pokoju kilkanaście główek jasnych i ciemnych stłoczonych dokoła i pochylonych nad kajetami. Uczyła Jadwiga Trzcńska. To była szkoła, polska szkoła, na polskiej ziemi, szkoła narodu, który w XIV wieku miał już akademię, a teraz kryć się musiał z najważniejszą funkcją wychowania przyszłego pokolenia, z najświętszym prawem swoim, z najdosłojniejszą nadzieją przyszłości! Ale tu byliśmy u siebie! Tu nie spodziewano się inspektora rosyjskiego, który by pytał dzieci o „carski dom”. Tu my nauczaliśmy, jak uważaliśmy za stosowne. To dziwne miejsce, ta mała szkółka — to był odcinek niepodległego państwa, marzonego w snach. Nie wiedziałam wtedy, że tak mniej więcej rozumieją jej rolę i dzieci same. Aż kiedyś, później, już później, gdy mi pokazano 10-letniego malca, który po lekcji historii, zamyślony, powiedział: „Ot, my jak ten król Okietek kryć się musimy po jaskiniach, z tą naszą nauką...”. Zrozumiałam, że ten mały miał niewyraźne poczucie analogii między królem-tułaczem a ludem polskim, wygnańcem na własnej ziemi, zmuszonym kryć się z tym, że poszukuje światła. Pokochałam tę szkołę. I odtąd prowadziłyśmy ją razem ze Śniegocką. Nie odeszła-

hym od tej roboty za nic. Przemocą mogli mnie tylko oderwać.



Ten pierwszy rok był dla nas wszystkich, pomagających Kierownicze Tajnego Nauczania, bardzo ciężki. Niedoświadczenie nas wszystkich, brak wszelkiej rutyny biurowej stanowiły przeszkodę, bo jednak trzeba było ująć te dzieci w jakieś spisy, inaczej przyszłoby się pogubić, dosłownie pogubić i te dzieci w plątaniu tych samych często imion i nazwisk, adresów różnych. Pierwszymi pomocnikami Śniegockiej były: Maria de Tilly (późniejsza Niewiadomska), Anna Jałbrzykowska (późniejsza Jakimiakowa) i ja. Suszyłyśmy sobie nie raz głowy nie mogąc odgadnąć, czy Janina Kowalska z Furmańskiej nie jest przypadkiem tą samą Janiną Kowalską z Podwala, czy należy do nauczycielki Gąsiorowskiej czy do nauczycielki Zradzińskiej, albowiem jedna z tych Janin gdzieś nam się zapodziała. Trzeba było stworzyć typ biurowości dla tajnej instytucji. I tu błysnęła myśl zbawcza. Zaprowadzić skorowidz! Skorowidz, maleńka książeczka, łatwa do schowania, ale były w niej nazwiska wszystkich dzieci w alfabetycznym porządku, przy tym adres i numer porządkowy, pod którym dziecko zapisało się w kajecie głównym — nic więcej. Prócz tego był „kajet główny”, w którym pod tym samym numerem, co w skorowidzu widniało nazwisko ucznia czy uczennicy, ale w tym kajecie był nadto wiek ucznia, stopień jego przygotowania naukowego, zajęcie ojca, jego adres i adres szkoły, do której uczeń został przydzielony. I był jeszcze trzeci kajet, w którym były te same dzieci, ale już podzielone na komplety. Każda szkołka miała w nim osobną kartę, na karcie tej było nazwisko nauczycielki, która szkołkę obejmowała, nazwisko właścicielki mieszkania i był spis wszystkich dzieci

uczęszczających do szkoły i adres każdego dziecka. Był także stopień oddziału, do którego szkoła się zaliczała.

Był także kajet egzaminacyjny, ale ten tworzyło się dopiero przy końcu roku szkolnego i przechowywało na przyszły rok szkolny. System był następujący: w kajecie głównym zapisywało się wszystkie dzieci w miarę jak się zgłaszały; wpisywano je natychmiast do skorowidza i układano z nich komplety poszczególnych szkółek, biorąc pod uwagę odległość od mieszkania, no i naturalnie przynależność do tego samego oddziału. Śniegocka kładła ogromny nacisk na bliskość szkół od mieszkania. Tulać się dzieci po całym mieście, z dzielnic do dzielnic, było niedopuszczalne. Dzieci, zwłaszcza małe, za długi miały taki spacer, zwłaszcza w porze zimowej, i przestawały uczęszczać do szkoły. A przy tym bezpieczeństwo szkoły było narażone w najwyższym stopniu. Im bliżej do szkoły, tym lepiej i bezpieczniej. To hasło potem, gdy już szkolki tajne były na każdej ulicy, łatwo dało się zrealizować, ale w początkach stanowiło niemałą trudność dla układającego komplety. Nauczycielka otrzymywała z III kajetu odpis swojej szkolki. Z tym odpisem w ręku obowiązana była na oznaczonego dnia i godziny stawiać się na miejscu swej pracy, przyjmować uczniów, zapisać tych, co się zgłosili, tych, co się nie zgłosili, powinna była odszukać podług podanych adresów i do siebie sprowadzić.

A teraz dzieci. Jak postąpić z nimi? Bo przecież i dzieci musiały dostać adres szkoły; a to, iluż groziło niebezpieczeństwami! Dzieci bardzo małe musiały pierwszy raz do szkoły zaprowadzić matki albo starsze rodzeństwo. Matka zatem dostawała kartkę, ale na kartce tej był tylko numer domu i mieszkania, ulicę powinna była zapamiętać. Zgubiona nawet kartka taka, choćby i wpadła w ręce policji, nie mówiła nic nikomu. Nazwy ulicy na niej nie było. Dzieciom starszym da-

wało się takie kartki do ręki, gdyż doświadczenie dowiodło, że dzieci były sprytniejsze od matek i pamiętały lepiej i orientowały się w tym wszystkim doskonale. Mniejszą ilością dokumentów pisanych nie mogło się obejść nasze biuro, a jednak były to wszystko dokumenty winy, tak wyraźne i jasne, że mogły nas wszystkich zaprowadzić... bardzo daleko. Nie zapisywać nic, jak żądali nasi członkowie Towarzystwa, znaczyłoby nie prowadzić wcale roboty. W każdym razie trzeba je było ukrywać starannie. W dzień musiałyśmy je mieć ciągle przed oczami, przy zapisie dzieci, na noc szły do stróża domu, gdzie mieszkali Śniegoccy (Chmielna 64, m. 2). Zaczynał ten człowiek i patriota Piotr Świtalski trzymał je zamknięte w małej skrzyneczce na narzędzia gospodarskie, w izdebce z bramy, tzn. „deżurce”, zastępującej urzędową kancelarię. Rankiem podczas obchodu rewirówy siadał na tej skrzyneczce, bo tak było mu najwygodniej konferować ze stróżem i dlatego dopóty, dopóki rewirówy konferował, my nie mogłyśmy się dostać do naszych papierów. Gdy stróż odniósł nam je, znak to był, że rewirówy poszedł sobie i my możemy zacząć spokojnie naszą pracę. Do ostatnich czasów przechowywano jeden taki skorowidz i odpowiadające mu kajety, a także kilka zeszytów z pracami dzieci, jako okazy, które ilustrowały w razie potrzeby odczyt o tajnym nauczaniu. Przechowywano je w tym samym mieszkaniu, które było świadkiem pierwszych prac tajnego nauczania (Chmielna 64, m. 2). I dopiero w pożarach ostatniego powstania r. 1944, w ohydnych rabunków zginęły te cenne pamiątki, jak zginął również portret Cecylii Śniegockiej.

Drugi kłopot stanowiły mieszkania. Za najodpowiedniejszy lokal tajnej szkoły uważała Śniegocka mieszkania robotnicze lub rzemieślnicze, w dzielnicach fabrycznych i takich nam kazała szukać. Tam było się u siebie. Tam po schodach przez



cały dzień kręciło się mnóstwo dzieci i nie zwracało to niczyjej uwagi. Dla policji była taka szkółka najtrudniejsza do wysledzenia. Mieszkania były płatne. Płaciło się za jeden komplet 4 ruble miesięcznie. Gdy kompletów było 3, opłata wynosiła 12 rubli. Była to ówczesna cena komornego. Mieszkanie w ten sposób miał robotnik za darmo, a darmo też uczyły się zazwyczaj jego dzieci; darmo miał poradę lekarską, a czasami i lekarstwa dla żony i dzieci. Bo ofiarni lekarze warszawscy, z drem T. Ciszewiczową na czele, przychodzili bardzo chętnie z pomocą bezinteresowną dziecku, które przyniosło tajemniczą kartkę od Śniegockiej. Oczywiście lekarze ci byli wpierw przez nią o to uproszeni. W czasach, gdy nie było Kas Chorych, nie mały to był przywilej. Więc robotnicy, widząc w tym własną korzyść, chętnie udzielali tych swoich mieszkań. Niektóre były już z roku na rok te same przez cały ciąg tajnego nauczania. Miało to swoje złe strony: szczupłość mieszkania, czasem obecność osób nieproszonych, prócz gospodyni, która gotowała i prała w tym samym pokoju. Czasem były to nory, gdzie dzieci, leżąc pod łóżkiem i wystawiając głowy na powietrze, pisały na kajetach leżących na ziemi. Takie mieszkania brało się tylko w razie, jeżeli prześladowanie przez policję danego kompletu uniemożliwiało zupełnie prowadzenie szkoły. Zwykle był krótkotrwały pobyt szkółki w takim lokalu. Ale bezpieczeństwo szkoły miano na pierwszym względzie. Potem już trzymano się innego systemu. Nauczycielka najmowała 2 pokoje, w jednym mieszkała sama, zazwyczaj z rodziną; w drugim mieściła się szkoła. I to już było o wiele lepsze.

Pensja nauczycielek wynosiła 10 — 15 rubli miesięcznie. Różnice cen tłumaczy się poziomem uczniów. Szkoła była podzielona od początku na cztery oddziały, z piątym wstępnym, który obejmował analfabetów. Tych, naturalnie, było

najwięcej. Ale nie wszyscy. Już w pierwszych latach mieliśmy kandydatów do IV oddziału. Pęd do oświaty był tak wielki, że każdy, jak mógł, starał się dać dziecku jak najlepsze wykształcenie; więc, kto miał na to, brał prywatnego nauczyciela, zwykle jakiegoś studenta-głodomora, kogo nie stać było i na to, szukał dobroczynnej pani czy panienki, ale każdy czytać przynajmniej dziecko nauczył. Tak, że miałyśmy, jako rezultat tych prywatnych wysiłków, bardzo dużo dzieci, które umiały czytać, a nie umiały pisać; tworzono z nich komplety osobne, tak zwany oddział I-a dla ułatwienia pracy nauczycielkom.

Za komplet oddziału wstępnego, I-a i I-b płacono 10 rb., ale już II oddział był opłacony wyżej, 12 rb., a III i IV — 15 rb. Były to pensje głodowe, mimo taniości ówczesnej, a jednak dużo dziewcząt utrzymywało się tylko z nich. Brały one 3, a nawet 4 komplety dziennie, zwykle już w jednym mieszkaniu. Czas nauki trwał 2 godziny w niższych, 3 godziny w wyższych oddziałach. I to było wystarczające ze względu na małą ilość dzieci. Później, gdy w miarę powodzenia, obawy o bezpieczeństwo roboty zmniejszały się, liczba dzieci w komplecie szkolnym wzrastała, aż doszła do 20, a za czasów Macierzy, gdy dawne komplety Tajnego Nauczania funkcjonowały już jako półlegalne „szkółki domowe” — do 25 dzieci.

Szkoła była płatna. Z początku 15 kopiejek miesięcznie od dziecka. Pochodziło to stąd, że obawiano się, że szkoła zupełnie bezpłatna będzie lekceważona i nie będzie miała powagi. Później podniesiono opłatę do 50 kop. I przekonano się, że zrobiło to jak najlepsze wrażenie. Dzieci nie opuszczały lekcyj, za które rodzice zapłacili. A dla całości interesu nie było to bez znaczenia. Opłata od dzieci, gdyby wpływała w całości, wynosiła prawie tyle, co pensje nauczycielek. Tylko że, naturalnie, trzeba było dużo dzieci od wpisu tego uwalniać, bo

nędza wśród robotników warszawskich była wielka i dla wielu rodzin, obarczonych liczną dzieciarnią, było to rzeczywiście wysiłkiem nadmiernym. I dlatego zaraz w początku organizacji musiała zmienić nazwę. Z początku mówiono o „Bezpłatnym Nauczaniu”; przyjęła się nawet w gwarze warszawskiej nazwa „bezpłatniak” na oznaczenie tajnej szkoły. Później nie miało to już racji. Trzeba ją było zamienić na: Tajne Nauczanie. A dzieci mówiły po prostu „Kryjówka”.

Procedura przy zapisie była mniej więcej taka: najpierw zapytywano malca, skąd dowiedział się, że tu można zapisać się do szkoły, a gdy dał, ewentualnie jego matka lub ojciec, zadowolającą odpowiedź, poddawano go egzaminowi. Następnie pytano się, czym się zajmuje jego ojciec, gdzie się uczył dotychczas itp. Można było ciekawych rzeczy dowiedzieć się przy tej sposobności. Pozostało mi w pamięci np., że matka checiwa nauki dla swego syna, a mieszkająca w Cytadeli, nie mogąc nigdzie znaleźć miejsca, zapisała go do szkoły cerkiewnej, ale tam jej się „nie podobało”. Inna przyznała się, że użyła podstępu, żeby otrzymać upragniony adres „pani, co zapisuje dzieci do szkoły”. Usłyszała mianowicie za Żelazną Bramą, że dwie kobiety rozmawiają ze sobą na ten temat i poszła za jedną z nich, i trafiła do miejsca zapisu.

Potem następował wykład, co jest obowiązkiem ucznia Tajnej Szkoły. Więc stale uczęszczać na lekcje, uczyć się pilnie, zachowywać się cicho, bo policja nie ma wiedzieć nic o tej nauce, książki i kajety nosić pod ubraniem; tu następował wykład, jak ma być uszyta torebka na kajety. Chłopcy mają ją nosić pod paltem czy marynarką, dziewczynki pod fartuszkami. Nie rozmawiać o Tajnej Szkole; w ogóle nikomu nie mówić, gdzie się uczy, jak, czego! Nie wymieniać nazwisk i adresów, zwłaszcza nazwisko pani, u której się zapisało, nie powinno być n i g d y ujawnione. Gdyby policja

przyszła do szkoły, dzieci powinny mówić, że mama umówiła nauczycielkę, a że jej ciężko było płacić, więc naradziła się z sąsiadkami znajomymi, że będą do niej przysyłać dzieci i wspólnie płacić kosztą. To samo mówić miała właścicielka mieszkania i nauczycielka. Na zakończenie uczeń otrzymywał jeszcze jedną wskazówkę. Choćby cię bili na policji — masz milczeć. Gdy się kto zapyta po drodze „dokąd idziesz”, mów, że „do cioci” albo „mama mnie posłała za sprawunkiem”, bo na ulicy szpicle podpytują dzieci, żeby się dowiedzieć, czy nie chodzą do szkoły, żeby taką szkołę zamknąć, a mamę twoją aresztować. Jednym słowem, długi wykład prymitywnej konspiracji dla dzieci. Chcąc je uczyć, przede wszystkim trzeba było nauczyć je kłamać. I to było tragiczne.

A nie dziw, że później, później w doskonałości konspiracyjnej ludność Warszawy przewyższała mieszkańców Krakowa czy Poznania. Miała to we krwi, w tradycji. Dopiero po takiej nauce wręczano malcowi kartkę z numerami i kazano powtórzyć nazwę ulicy, którą miał zapamiętać. Wyobrażam sobie, że właśnie ta tajemniczość największą była atrakcją dla naszych urwiszów.

Program obejmował: religię, język polski, historię Polski, geografję, nauki przyrodnicze, arytmetykę i język rosyjski; w najwyższym oddziale dochodziła do tego i nauka literatury. Języka rosyjskiego nie pomijano, bo był w naszych warunkach potrzebny, ale wyznaczano mu pół godziny tygodniowo.

Tak przeciągając zapisy prawie do Bożego Narodzenia zdołaliśmy pierwszego roku zgromadzić przeszło 300 dzieci i utworzyć około 30 kompletów. Minęło już parę razy po dwa tygodnie i „wsypa” zapowiedziana przez znakomitego historyka nie nastąpiła. Nie nastąpiła jakoś i do końca roku szkolnego. Nawet żaden komplet nie uległ wyśledzeniu go przez policję.

Natomiast z funduszami było coraz gorzej. Coraz częściej w książce rachunków domowych Śniegockiej ukazywała się pozycja: „Diabli wiedzą, na co 12 rb. albo 10 rb.”. Ale nie tylko diabli wiedzieli, lecz i ona sama, że to poszło na pensje nauczycielek Tajnego Nauczania, domyślał się i mąż, który, znając hojność swojej małżonki na rozmaite cele nielegalne, wymagał od niej tych rachunków, a zadowolnić się musiał niepraktykowanymi w żadnej buchalterii metodami. Zupełnie źle się dziać poczęło, gdy Śniegocka zapadła na zwykłe swoje przypadłości, zaziębienie i gripę i nie mogła odwiedzać swoich zamożnych i ustosunkowanych przyjaciół.

I wtedy Jałbrzykowska powiedziała: „Urządzimy raut”. Ja nie miałam w tych rzeczach żadnej praktyki, ona trochę więcej. Przyszli nam z pomocą znowu Żydzi. Student Taubwurcel miał jakichś wujków czy pociotków Fajansów, zainteresowanych w żegludze zbożem po Wiśle. Ci państwo mieli piękny salon na ul. Chmielnej i zgodzili się, żeby u nich odbył się raut. A więc „journal parlé” (dziennik mówiony) to była wtedy nowość; pierwszy bodaj w Warszawie. Kółko literatów i dziennikarzy nie było trudno zebrać. Brał więc w tej imprezie udział, o ile sobie przypominam, Zygmunt Wasilewski, Władysław Jabłonowski, Ignacy Matuszewski, Maria Czesława Przewóska i ja. Depesze były sfingowane i zawierały złośliwe aluzje pod adresem rządu; na zakończenie „kącik humorystyczny”, którego urządzenia podjął się Taubwurcel i sprowadził kolegów specjalistów w tej dziedzinie. Sprzedaż biletów poszła nam łatwo. Pocziwa Warszawa, choć się bała tych nielegalnych raucików, ale szła przez ciekawość. Wysłuchali ludzie poważnych artykułów i beletrystycznych ozdób pisma, depesze już wzbudziły zainteresowanie, a kącik humorystyczny z towarzyszeniem fortepianu cieszył się niebywałym powodzeniem. Na zakończenie Fajansowie sprawili nam praw-

dziwą niespodziankę. My prosiliśmy o herbatę z ciastkami, jak było zwyczajem, żeby zebraniu nadać cechy towarzyskiej zabawy. A oni wystąpili z kanapkami, przystawkami; pełno wyszukanych przysmaków i w tak nadzwyczajnej ilości, że nawet głodomory były zupełnie nasycone. Wszyscy winszowali nam nie „dziennika”, ale przyjęcia. Pytali, kiedy znów urządzimy taki raut i zamawiali sobie bilety. To był już szczyt powodzenia! I na długo raut ten zasilił kasę Tajnego Nauczania. Tak niewiele było potrzeba, a tyle pożytecznych rzeczy zrobić za to było można. Podaję też tego pierwszego roku kłopoty, trudności i powodzenia, bo te będą typowe i nadal dla całej naszej roboty. Nie policja i jej działalność, której się tak obawiano, stanowiła kłopot prawdziwy, a stały, ciągły brak pieniędzy!



Mógłby ktoś zarzucić, że w tej pracy Tajnego Nauczania traci się sylwetka jego inicjatorki i kierowniczkii. Nie podobna, pisząc o człowieku, pominąć dzieło jego życia. Tym dziełem on się wypowiada właśnie. I zdaje mi się, że niewiele dodać potrzeba, aby postać ta uwypukliła się i wystąpiła wyraźniej. Co mnie szczególnie uderzyło od pierwszej chwili współpracy, to nadzwyczajna pracowitość Śniegockiej. Ta kobieta chora, męczona ciężkim kaszlem całe życie, nie mogła ani chwili spędzić bezczynnie. To wielki temperament potrzebował ujęcia. Więc oprócz konferencyj z matkami, dziećmi i nauczycielkami, oprócz całej pisaniny Tajnego Nauczania, oprócz domu, który bądź co bądź absorbował jej czas, zwłaszcza porządku, bo zamiłowanie czystości posunięte było u niej do przesady, nieustannie zajmowała się jakimiś robotami z zakresu sztuki stosowanej. Jakieś wypalania i malowania na

drzewie, rzeźbienia, nakładania wypukłymi farbami itp. Gdy zapytałam ją w naiwności serca, po co to wszystko robi, zwłaszcza to wypalanie, które duszącym dymem napełniało pokoje i wywoływało u niej ataki kaszlu, przyznała, że robi to na sprzedaż, do sklepów, by powiększyć fundusze Tajnego Nauczania. Niezmierną ilość czasu zabierały jej stosunki towarzyskie, nieuniknione dla działaczki tego rodzaju; wiecznie to u niej ktoś był, to ona sama szła na jakiś fiks, na jakieś imieniny, na jakieś śniadanie, skąd przynosiła zdobytego nowego płatnika albo wyproszone mieszkanie na raut, albo pomysły nowej jakiejś zabawy, albo nazwisko artysty, który zaoferował swój występ. Tysięczne były interesy, które załatwiała się przy sposobności i pod pozorem stosunków towarzyskich. Zwłaszcza fiksy, w piątki, u Cecylii Walewskiej nie pozostawały nigdy bez rezultatu. Tam najczęściej sprzedawało się biletów, najczęściej spotykało artystów, którzy przybiecywali swoje produkcje. A gdy nie szła na raut, to szła na posiedzenie albo organizowała szopkę dla dzieci, albo przedstawienie z latarnią czarnoksiężką. Korespondencja zabierała jej godziny całe. Chłopiec stale roznosił te listy do członków Towarzystwa, do nauczycielek, do ludzi najrozmaitszych w najrozmaitszych sprawach. (Nie było jeszcze wtedy telefonów.)

Co wymyka się spod pióra najżyczliwszego autora, to wdzięk, z jakim to wszystko było czynione, wdzięk tak wielki, że brał zarówno młodych i starych, mężczyzn, jak kobiety. Tym wdziękiem ona zjednywała dla swojej idei najoporniejszych, tym uśmiechem, tym żartem na zawołanie. Bo drugą charakterystyczną jej cechą była wesołość. Żadnej pożytecznej działaczki, a tym bardziej nie z modnego jeszcze wówczas cierpiętnictwa. W żart obracało się wysiłki przy robocie i niebezpieczeństwa. Wiele pola do żartów dostarczały same dzieci. Ich powiedzenia, ich zwroty w gwarze warszawskiej.

Cała robota, prześwietlona promieniami złotego jej humoru, wydawała się lżejsza i pełna wdzięku. Dowcip jej czynił ją pożądaną w towarzystwach. Niektóre jej powiedzenia obiegały całe miasto. Kiedy jej np. przyniesiono wiadomości, że Lewental, znany powszechnie wydawca „Kuriera Warszawskiego”, przyjął wczoraj chrzest. „Jakże on to zniósł — zapytała — chyba pod chloroformem?” Cała Warszawa powtarzała sobie to powiedzenie, a najbardziej cieszyli się nim nieochrzczeni jeszcze, byli współwyznawcy Lewentala.

Gdy jakiś nowowstępujący do Towarzystwa jegomość, płacąc składkę, błagał ją, aby nie zapisywała jego nazwiska, rzekła z największą powagą: „Ale, panie, ja właśnie zapisuję sobie tych wszystkich, co mi nie płacą”. W żartach jej nie było nic złośliwego, chętnie ośmieszała siebie i swoją robotę i lubiła taki wesoły stosunek do swoich poczynąń. Gdy na skromnej uczcie, którą w prywatnym mieszkaniu urządzali sobie co pewien czas oświatowcy (najczęściej było to mieszkanie dr Ciszewiczowej), jeden z panów w rymowanym utworze na jej część nazwał ją: „Życiodajna Ewa — tysiąc ma dzieci, więcej się spodziewa”. Żart ten bardzo jej się podobał i powtarzała go z upodobaniem.

Jej kiepska niemczyzna dawała pole do żartów. Mąż i ona sama opowiadali niezliczoną ilość jej śmiesznych powiedzeń niemieckich, którymi podczas pobytu za granicą bawiła cudzoziemców. Sławne były jej karykatury domowe, w których ona sama, jej mąż i ja uchwyceni byliśmy, przy charakterystycznych i zabawnych zajęciach i pozach, a które pokazywało się tylko najbliższym przyjaciółom.

Czy umiała się gniewać? O, i bardzo! Była z natury bardzo gwałtownego usposobienia. Nauczycielka, która swoim niedbalstwem czy nieumiejętnością zmarnowała komplet, której dzieci rozlały się na przykład, lepiej zrobiła, gdy nie poka-

zywała się jej potem na oczy. Takie wypadki zdarzały się tylko z początku; później podjęto przeciw temu środki zapobiegawcze. Inna znów, która zaczęła powozem jakiegoś w pobliżu mieszkającego przemysłowca przyjeżdżać do Tajnej Szkoły na lekcje, wywołała szalony jej gniew i otrzymała, naturalnie, natychmiast dymisję. Zwracała uwagę policji na Tajną Szkołę i szerzyła złą opinię o Tajnym Nauczaniu. Takich wypadków nie było dużo. Stosunek jej do nauczycielek na ogół był macierzyński i koleżeński zarazem, i nie ma chyba ani jednej, która by nie wspominała tego okresu, kiedy przymierała głodem i marzła na przewiewnych ulicach Powiśla lub Woli, jako najpiękniejszego w swoim życiu.

Jej odwaga? Były co do tego dwa poglądy. Faktem jest, że wydawała przeraźliwy krzyk na widok myszy przebiegającej po kredensie, a z całym spokojem i zimną krwią stawiała codziennie wobec niebezpieczeństw o wiele realniejszych, o wiele groźniejszych; snu jej przez lat 12 nie płoszył dzwonek u drzwi, który rozleć się mógł każdej nocy zwiastując przybycie żandarmów, „ochrany” czy policji. Wiedziała przecież, że przy jej stanie zdrowia pobyt w więzieniu zapowiadał nawrót śmiertelnej choroby, a wydalenie z Królestwa jej męża, Poznańczyka, znaczyło ruinę materialną, nie mówiąc o ruinie umiłowanej pracy, o skończonym zadaniu życia. Ludzie niepodległych krajów nie wiedzą, czym jest życie pod ciągłą grozą, czym jest codzienny „heroizm niewoli”.

Razu pewnego dano jej znać, że jeden z „ojców”, u którego właśnie była tajna szkoła, czy pod wpływem alkoholu, czy z innego jakiego powodu odgraża się, że pójdzie do policji i powie o wszystkim, co wie (ten człowiek znał jej nazwisko), że żona nie może sobie dać z nim rady... Było to późno wieczorem; zarzuciwszy chustkę na głowę, pobiegła Śniegocka do jego mieszkania na ulicy Zielnej. Z niepokojem czekałam

na nią. Był to taki wyjątkowy wypadek. Długo nie wracała. Wreszcie jest. „No, i jakże? — pytam. — A no, najpierw go zwymyślałam. Powiedziałam mu: Co pan wiesz, nic pan nie wiesz. I dowiodłam mu, że on nic nie wie, prócz tego, że u niego jest tajna szkoła, za co mogą mieć pretensje do niego, nie do Śniegockiej, i za co wsadzą go na 3 miesiące do Ratusza, a że ona przysłała nauczycielkę, no, bo ją żona jego o to prosiła, by jej zarekomendowała jaką panienkę, co dobrze uczy. A prócz tego, co on im powie, gdy pytać będą? (Istotnie ten człowiek nie wiedział adresu żadnej innej szkoły.) Ale za to po wieczne czasy okryje hańbą siebie i swoją rodzinę, wszyscy pokazywać sobie będą jego syna: to syn szpiega, donosiciela... Tu żona wybuchnęła głośnym płaczem. I popłakaliśmy się wszyscy — kończyła Śniegocka. — I zgoda między nami. Nie bój się, już on teraz nigdzie nie pójdzie”. Tak skończyła się ta najdrażliwsza sprawa, jaką pamiętam.

Nie ulega wątpliwości, że wdzięk jej, na który prości ludzie byli jeszcze wrażliwsi, niż inteligencja, odegrał tu swoją rolę, ten urok, którym chwyciła za serca.

I pamiętam, jak pewnego razu zawiadomiono ją, że u jej przyjaciół, ludzi starszych, bo już w r. 1863 wypraktykowanych, odbywa się rewizja. Było to bardzo wczesnym, letnim rankiem. Ubrała się i pobiegła tam. Oficerek młody z „ochra-ny” kończył właśnie protokół.

— Cóż to, tu Azja? — wpadła na niego Śniegocka.

Nie wyprosił jej za to.

Zmieszał się i przyspieszył zakończenie swoich czynności. Żona aresztowanego zdążyła wsunąć jej jakiś pakiecik — oficer, któremu widocznie zaimponowała swoją urodą, elegancją i pewnością siebie, nie zatrzymawszy, pozwolił jej wyjść.

Największą wewnętrzną wartością tej duszy „sans peur, ni reproche” było, że umiała kochać. Niemcy podczas ostatniej

wojny dawali nam przykład nadludzkiej nienawiści i nauczyli nas, że nienawiść nie jest twórcza. Nienawiść tylko tępi: dzieła, jednostki i narody całe. Ona walczyła miłością, sercem zdobywała to, co w ówczesnych warunkach wydawało się niemożliwe do zdobycia. I jak kochała te dzieci swoje z suterem i poddażem, tak potrafiła miłować każdego człowieka, który miał szczęście pozyskać jej przyjaźń, gorąco, z poświęceniem bez granic, na śmierć i życie.

Nie miała wysokiego wykształcenia. Tyle, co wówczas światowej pannie godziło się umieć. Wrodzona inteligencja, potężna intuicja i cudowny zdrowy rozsądek zastępował braki wykształcenia i pozwolił jej stworzyć rzecz, jakiej przedtem nie było. A nad wszystkim górował temperament odziedziczony po przodkach dalekich z linii macierzystej, wyniesiony skądś, z dzikich pól, by tu w Warszawie nasycił dzikie pola wielkiego miasta siewem ponad wszystko cennym, ziarnem oświaty i uszlachetnienia.

Gdy dodam do tego wysoką prawość, subtelne wielce poczucie honoru, macie jej postać w całej pełni taką, jaka przysłała na tę ziemię w momencie najgłębszego jej upadku i zalamania się duchowego.



A teraz pokażę Wam Tajne Nauczanie w pełni rozwoju.

Tajne Szkoły znajdują się w każdej dzielnicy miasta, szczególnie jednak pokryte jest nimi Powiśle, Stare Miasto, Plac Witkowskiego i Wola. W niektórych domach są 3 i 4 lokale szkolne, w każdym 3 i 4 komplety dzieci. Ogółem 2000 dzieci korzysta z tajnej nauki.

Corocznie ulepszana, doskonała organizacja czyni z Tajnego Nauczania swojego rodzaju potęgę. Całe miasto wie o nim. Nie wie wróg. Domyśla się. Mikołaj II osobnymi manifestami wznawia zakazy Mikołaja I w kwestii tajnej oświa-

ty w Polsce i groźbą 3 miesięcy więzienia i 300 rb. kary usiłuje powstrzymać naturalny pęd narodu polskiego do oświaty. Mówię narodu, bo za przykładem Warszawy i na jej wzór powstaje Tajne Nauczanie w Lublinie, Łodzi, Wilnie. Niektóre z nich pod osobistym wpływem Śniegockiej. Do Wilna np. jeździła kilkakrotnie z odczytami o Tajnym Nauczaniu. W Łodzi także był ten sam typ pracy, co w Warszawie. Nawet biurowość zaprowadzona była ta sama w Wilnie, co w Warszawie. I wieś się rusza. Organizują się wioski. W Kobryniu powstaje tajne seminarium nauczycielskie, którego zadaniem jest przygotować tak zwane „ludówki”, nauczycielki dla tajnych szkółek na Polesiu i Wileńszczyźnie. W Łowiczu kwitnie Tajna Oświata, w Radomskim całe wsie należą do jednej organizacji Tajnego Nauczania. Już rozpęd dany! Nikt go nie zatrzyma. I w Warszawie powstaje Tajne Nauczanie żydowskie, funkcjonuje też, choć słabiej i mniej liczne, kółko Tajnego Nauczania Zaborowskiej.

Już teraz nie podobna centralizować całego ruchu na Chmielnej. Zapisy odbywają się w wielu punktach miasta i osoba Śniegockiej nie jest już ciągle na widowni. Prowadzą ją nauczycielki i inspektorki. Bo taki urząd trzeba było stworzyć wobec rozrostu pracy. Inspektorkami były Zofia i Helena Eyssymonttówna, Anna i Adela Krypskie. Miasto podzielono na 4 inspektoraty, każda inspektorka ma powierzoną sobie pewną ilość szkółek, które obowiązana jest odwiedzać możliwie najczęściej, bywać na lekcjach, udzielać rad niedoświadczonym nauczycielkom, dawać lekcje wzorowe w razie potrzeby; w ostateczności, na jej wniosek zmieniał się nauczycielkę. Inspektorki robią zapisy, a przy końcu roku szkolnego egzaminują i kwalifikują dzieci do wyższych oddziałów. Prócz inspektorek jest tu i zastępczyni. Jeżeli nauczycielka nie może z ważnego powodu przyjść na lekcję, daje znać

o tym swojej inspektorce, która idzie ją zastąpić, jeżeli i ta nie może, zawiadamia Małgorzatę Starzyńską, a ta śpieszy choćby na koniec świata. Było rzeczą niezmiernie ważną zarówno ze względu na naukę, jak i na bezpieczeństwo szkoły, by dzieci nigdy nie pozostawić samych i dlatego kładziono silny nacisk na zastępstwa. Rozumiały to nauczycielki i chętnie stosowały się do tego przepisu.

Nawet na wyglądzie miasta odbijało Tajne Nauczanie swój stempel. Mniej było dzieci walęsających się bezczynnie, natomiast małe figurki z wydatnymi brzuszками, od ukrytych pod ubraniem książek i kajetów, uwijały się gęsto po mieście. Wtajemniczeni łatwo poznać mogli po tych figurkach, które z dzieci uczęszczają do Tajnej Szkoły. Nie tylko na dzieci rozciągał się wpływ Tajnego Nauczania. Nauczycielki obowiązane były odbywać raz na miesiąc zebrania z rodzicami. Mówiło się naturalnie o dzieciach, o ich wychowaniu, powoli zbaczając na strony, aż do polityki włącznie. Wpływ ten nie był bez znaczenia. Nie wszyscy może zdają sobie sprawę, jak robotnik lub rzemieślnik ówczesny lubili rozmowę z inteligentami, ile wzajemnie można było nauczyć się od siebie, choćby tylko w dziedzinie wychowania. Robotnik znał jedną tylko karę dla dziecka: bat. I tymi batami szafował bez miary. Wpływ nauczycielki mógł też oddziaływać bardzo zbawiennie, a zwłaszcza gdy umiała trafić do przekonania, wskazać, że dla dziecka przykład starszych, najbliższych znaczy więcej, niż bat.

Dam jeden przykład oddziaływania tajnej szkoły: Pewien kucharz, mający bardzo zdolnego syna, był zdecydowanym alkoholikiem. Chłopiec już chodził do IV oddziału i miał przyobiecaną pomoc w dalszym kształceniu się. Zastanowiło to kucharza. Jak to? Syn jego inteligentem, a ojciec jego taki pijak! Cóż to za wstyd dla niego! Nie będzie chciał znać takiego ojca! I wyrzekł się alkoholu. Wpływ nauczycielki, mi-

mowoli nawet, odbijał się na matkach. Ile to można było zrobić dla czystości, dla higieny, dla estetyki mieszkań. Nie szczędzono pochwały, gdy zastało się mieszkanie sprzątnięte i wywietrzone, nagany — gdy było przeciwnie.

Rok szkolny w Tajnym Nauczaniu trwał od 1 października do 15 czerwca. Na jesieni zapisy, na wiosnę egzaminy to były dwa okresy najcięższej pracy. Zwłaszcza egzaminy, zanim jeszcze ustanowiono instytucję inspektorek i podział pracy pomiędzy nimi. Wszystko ciążyło na Śniegockiej i na mnie. Aż w końcu stało się fizyczną niemożliwością. Nie mogłyśmy pokonać zapału i głodu zapytań tych dzieci. Wszystkie chciały być przeegzaminowane ze wszystkich przedmiotów, z całego kursu. Tak chciały się pochwalić nabytymi wiadomościami, taki zawód malował się na twarzyczkach, gdy powiedziałam: dosyć! dziękuję! Im wyższy był oddział, im starsze dzieci i im lepsza nauczycielka, tym trudniejsza z nimi sprawa.

Egzaminy dostarczały Śniegockiej momentów propagandowych. Gdy bardzo chciała zjednać sobie kogoś albo gdy trafił się gość z innego zaboru, zabierało go się na egzamin. Jednym z najznakomitszych gości na egzaminie był Henryk Sienkiewicz. Było to już w dziesiątym roku jej pracy, gdy starała się o zapomogę u wpływowej już wówczas spółki „Sienkiewicz i Osuchowski”, rozporządzającej znacznymi kapitałami na cele oświatowe. Nawiązane wówczas stosunki doprowadziły potem do przejęcia całej roboty przez Polską Macierz Szkolną. Sienkiewicz był szczerze wzruszony i zdumiony, gdy uczeń z zapalem i obfitością szczegółów malował atak konnicy polskiej na Samossierę, gdy potem przyszło do literatury, i inny chłopiec zapytany o ulubioną swoją książkę odpowiedział „Potop”, a kto w „Potopie” jest ulubionym twoim bohaterem — Kmicic — i inteligentnie motywował swój sąd o Kmicicu, wreszcie zapytany, kto jest autorem tej powieści, zawahał się na

chwilę, bo nie wiedział, czy ma powiedzieć „pan Sienkiewicz” czy „Sienkiewicz” po prostu (a wiedział, kto jest obcy pan przyprowadzony na egzamin), wreszcie po chwili namysłu powiedział śmiało: „Henryk Sienkiewicz”, autor „Potopu” uścił serdecznie tego ucznia. Jakże daleko jesteśmy od czasu, gdy uczony historyk wróżył gderliwie: „Za dwa tygodnie dostaniecie się wszyscy w ręce policji”. I co za zmiana nastrojów dokonała się w tym czasie. Pierzchnął strach. Sienkiewicz nie lęka się zstąpić do podziemnego świata... I nie lekceważy bynajmniej Tajnej Szkoły.

A po egzaminach? Co się działo z dziećmi, które ukończyły IV oddział? Dzieci te były najzdolniejsze zazwyczaj i pełne ambicji. Tym ambicjom młodzieńczym jeszcze Tajne Nauczanie spieszyło z pomocą. Ułatwiało im przygotowanie się i wstąpienie do gimnazjum, do seminarium nauczycielskiego, do szkoły ochroniarek, do szkół handlowych lub na kursy Wawelberga. Kilka już byłych uczennic naszych, z pierwszych lat istnienia Tajnego Nauczania, stało się współpracowniczkami naszymi. Po pewnym okresie przygotowawczym powiększyło zastęp naszych nauczycielek. Większość dzieci, co prawda, przerywała naukę kończąc ją na II oddziale i szła do pracy. Jakoś o bezrobociu wtedy nie było słyhać, a rodzice chętnie, jak najwcześniej, zrzucali z siebie obowiązek utrzymania dzieci. W takim razie stawał się uczeń nasz uczciwym i kulturalnym pracownikiem fizycznym, uczennica — oświeconą pracownicą igły lub modystką. I tu liczne stosunki i znajomości kierowniczeki Tajnego Nauczania dopomagały w znalezieniu praktyki lub sposobności do nauki rzemiosła. I potem po latach radosne odnowienie tej znajomości w warsztacie, w zecerni, w magazynie lub sklepie: „Ja panią znam, ja byłam w Tajnej Szkole”.

W miarę doskonalenia się całego aparatu organizacyjnego miała Śniegocka coraz lepiej rozumiejące cel naszej pracy i coraz wyżej pod względem naukowego przygotowania stojące nauczycielki. Do najlepszych, najwięcej przez nią cenionych zaliczały się: Zofia Eyssymonttówna, Natalia Gąsiorowska, Helena Eyssymonttówna, Helena Stattlerówna, Maria Stattlerówna, Klementyna Stattlerówna, Regina Falkowska (siostrzenica powieszzonego członka Rządu Narodowego w r. 1863, Rafała Krajewskiego), Helena Matlakowska (siostra doktora), Zofia Liebkindówna, Julia Liebkindówna, Anna Krypska, Adela Krypska, Ludwika Trzcińska, Jadwiga Trzcińska, Teodozja Czarnowska, Stanisława Roszkowska itd. Jeżeli pominęłam tu kogoś, niech mi daruje. Wina to niepamięci, nie złej woli. Podaję tu ich nazwiska, bo zdaje mi się, że krzywdę bym im wyrządziła kreśląc sylwetkę ich hetmanki, a pomijając w zupełności ich imiona. I to jeszcze zaznaczam, że jakkolwiek wymieniałam kilkanaście, a ich przewinęło się przez cały okres kilką setek, że całe to szare mnóstwo zasługuje na wdzięczną pamięć potomnych. Wytrwale pełniąc swój cichy obowiązek przyczyniały się do wzrostu oświaty i uświadamiania obywatelskiego w kraju. Z prawdziwym zaparciem się siebie, po bohatersku znosząc trudy i niewygody tego systemu nauczania, codziennie narażając się na niebezpieczeństwo uwięzienia pełniły swoje dzieło, radosne jego wewnętrzną treścią.

Pomnik z napisem „Tajnej nauczycielce — Warszawa”, pomnik marzony przez człowieka dalekiego od tych spraw, człowieka z innego zaboru (Artura Górskiego), powinien ozdobić kiedyś Rynek odbudowanego z ruin Starego Miasta. Będzie to odpowiednikiem pomnika „Nieznanego żołnierza”.



Powiedziałam, że policja rosyjska sprawiała nam najmniej kłopotu. I tak było w istocie w stosunku do tego, czego należało się po niej spodziewać. Nie znaczy to jednak, że była zupełnie bezczynną, zwłaszcza po owym ukazie carskim, zwracającym uwagę na kwestie tajnej oświaty w kraju „prywiślińskim”. Oczywiście „łapówka” była tym czynnikiem, który paraliżował zapal policji carskiej. Nikt by jednak nie uwierzył, jak małą łapówką zadowalał się taki pan „rewirowy”. Było u nas zwyczajem, że właścicielka lokalu szkolnego wręczała zwykle ten haracz w myśl utrzymania fikcji, jakoby ona dla swoich dzieci i dzieci swoich znajomych zakładała tę szkołę. Niektóre właścicielki mieszkań szły nam pod tym względem bardzo na rękę. Taka np. p. Bugajska z Bednarskiej spod nr 6 (mieszkanie, przez cały 12-letni okres Tajnego Nauczania czynne) po prostu zapraszała p. rewierowego na kieliszczek do najbliższego szynku i zamawiała sobie jego dyskrecję na cały miesiąc. Inne czyniły to kosztem 1 rb. w gotówce, nawet 50 kop. miesięcznie. Byli też policjanci Polacy, których dzieci uczyły się w naszych szkołach. O taką szkołę można było być spokojnym. Ale byli i gorliwcy, którzy, raz zawziąwszy się na daną nauczycielkę, ścigali ją z jednego mieszkania na drugie. Czasem, przestrzeżona zawczasu, uniknęła niebezpieczeństwa, czasem „wpadła”. Cóż było w najgorszym razie? Rewirowy spisywał protokół, nazwiska dzieci i nauczycielki, jeżeli była obecna, zabierał książki, kajety. Potem nauczycielka albo właścicielka mieszkania dostawała wyrok, np. 3 tygodnie aresztu albo karę pieniężną, np. 100 rubli. I na tym kończyła się sprawa. Nigdy żadnemu policjantowi nie wpadło na myśl poszukać, czy za tą liczną siecią tajnych szkół (sam musiał się orientować, że jest ich w jego rewirze więcej) nie stoi ktoś inny jeszcze, czy nie ma tu pomocy ze strony inteligencji? Dowód, jak mało znali oni nas, a my ich, stykając się

codziennie. Dwa światy o odrębnej psychice! Rozgraniczone przepaścią pełną ciemności.

Druga rzecz nadzwyczajna! Nigdy żadne dziecko nie popełniło niedyskrecji, nie wymieniło przy policjancie żadnego „podpadającego” nazwiska. Naturalnie o każdym takim wypadku było rozporządzenie: „dać znać natychmiast na Chmielną”. Nauczycielka miała obowiązek przyjść, wyjaśnić szczegóły, wziąć adres innego mieszkania (miano zawsze kilka zapasowych), ale to już nazajutrz, na razie, żeby nie sprowadzić „aniola-stróża”, przysyłała np. najmłodszą parkę dzieci, z tych, co się jeszcze nie uczyły...

Melodramatyczne zakończenie miała jedna taka rewizja. Po skończeniu protokołu rewirowy zwrócił się do dzieci z jakimś jeszcze pytaniem. „A dzieci wszystkie klęcząc w krąg, odmawiają „Pod Twoją obronę...”. Rewirowy wzruszony podarł protokół, oddał im książki i kajety, zastrzegł sobie, że ich noga nie postanie więcej w tym mieszkaniu i poszedł klnąc pod nosem taką psią służbę.

W rezultacie cała ta walka Tajnego Nauczania z policją miała, o ile sobie przypominam, następujące wyniki: nauczycielka Wójtowiczowa odsiedziała 2 tygodnie, Skibowa, właścicielka mieszkania, 3 tygodnie na ratuszu. Nauczycielki: Matlakowska, Zradzińska, Muszyńska zapłaciły kary pieniężne. Było jeszcze kilka wypadków kar więzienia i pieniężnych, ale już sobie nie przypominam ani nazwisk winowajczyń, ani poczynań policji, ani treści wyroków policyjnych. Przeciwnie karom pieniężnym obmyślono rodzaj wzajemnego ubezpieczenia. Był to projekt wyłącznie Śniegockiej. Każda nauczycielka opłacała do wspólnej kasy małą jakąś składkę miesięczną. Towarzystwo Tajnego Nauczania dawało od siebie jakiś znaczniejszy udział i fundusz ten złożony w banku czekał swego przeznaczenia. Z funduszu tego zapłacono pewną ilość kar,

w końcu i on stał się zbędnym wobec wprowadzenia szkół polskich w kraju.



Nieszczególnie świadczy o ówczesnym społeczeństwie polskim, że środki na oświatę trzeba było stale zdobywać drogą imprez, przeróżnych rautów lub balów. Doprowadzić do tego, by ludzie płacili składki, nie udawało się. Już nawet później przestano starać się o tych płatników, bo łatwiejszą i prostszą rzeczą było urządzić bal czy inną jakąś zabawę. Prawda, że Antonina Dziewulska, Natansonówna z domu, przynosiła zawsze na imieniny Śniegockiej 300 rb. w bukietiku konwalii, ale to było niedostateczne, poza tym składki stałe wynosiły niewiele więcej nad 150 rb. rocznie. Pod tym względem usiłowania Śniegockiej zrobiły fiasco. Więc w karnawale jeden wielki bal, który, jeśli się udał, stanowił najważniejszą pozycję w rachunkach Tajnego Nauczania, a poza tym w ciągu roku kilka wieczorków, rautów lub teatrów amatorskich, odczytów, loterii. Na wiosnę zwykle odbywała się majówka z tańcami i różnymi niespodziankami. Pamiętam jedną taką majówkę w Świdrze u Starzyńskich, którzy całą willę oddali do naszego użytku, a która trwała dzień i noc. Wdzięczna za dobrą zabawę publiczność nie myślała o jednej rzeczy: oto w tym chaosie, w tyśiącznych zabiegach, by zabawa dobrze się udała, zdzierały się co najlepsze siły, które można było obrócić na pożytek kraju i ludu.

Zwykle przy końcu roku szkolnego zbierało się Towarzystwo Tajnego Nauczania, to jest wszyscy członkowie płacący składki oraz najczynniejsi sympatycy, i odbywał się generalny rachunek sumienia. Na ten jeden raz Śniegocka folgowała nieco ze swej ostrożności. W mieszkaniu jej zjawiały się kajety wszystkich dzieci ze wszystkich szkół, żeby członkowie Towa-

rzystwa mieli naoczny dowód, czego dokonano za ich pieniądze. Śniegocka omawiała całoroczną historię Tajnego Nauczania i stawiała wnioski na przyszłość. Potem generalny buchalter (specjalista) Tajnego Nauczania, którym był z początku Aleksander Drzewiecki, a po jego ucieczce z kraju (sprawa o charakterze politycznym) Władysław Kurkiewicz zdawał sprawę z rachunkowej strony instytucji.

Pozostały mi w pamięci niektóre cyfry. Koszt szkoły tajnej z opłatą nauczycielek, inspektorek, lokalów szkolnych i policji wynosił 6000 rb. Po stronie aktywów było 1800 opłaty od dzieci, 480 stałych składek. Resztę trzeba było wytańczyć, wyrautować, wyśpiewać. Członkowie przeglądali z zajęciem kajety i słuchali sprawozdań, a nam pozostał potem obowiązek spalenia wszystkich dowodów naszej winy. Zabierał on nam zwykle kilka godzin. Nadzwyczajna łatwość Śniegockiej w obcowaniu z ludźmi umożliwiała ten rodzaj gospodarki, a jednak i ona w końcu czuła się zmęczona i wzdychała do czasu, gdy zrzuci z siebie ciężar troski o finanse Tajnego Nauczania. To było głównym motywem nawiązania stosunków z Sienkiewiczem i Osuchowskim. Było to na dwa lata przed założeniem Polskiej Macierzy Szkolnej. Wszyscy mieliśmy zastrzeżenia co do tego pomysłu. Było to rodzajem zaprzeczania się w niewolę. Traciło się swobodę działania. Wiedziała i Śniegocka o tym, że, kto daje pieniądze, może stawiać wymagania. Wiedziała, że atmosfera duchowa i ideowa „tam” różni się nieco od naszej. Ale to, co było dotąd, było już nad jej siły.

Sienkiewicz i Osuchowski dali na razie pewną poważniejszą sumę pieniędzy nie miesząc się do niczego. A Śniegocka wkrótce potem, gdy organizm jej nie mógł snadź podolać trudom i „przyjemnościom” tak wytężonego życia, na jesieni r. 1905, gdy zapisy do tajnych szkół były w pełnym biegu,

dostała nagle zapalenia płuc. Dla Tajnego Nauczania była to katastrofa, bo jakkolwiek aparat organizacyjny był już tak nastawiony, że na razie nie odczuł tego, ale co dalej? Wprawdzie cudowny organizm Śniegockiej i tym razem zwyciężył chorobę; po paru tygodniach wróciła do zdrowia, ale lekarze kazali jej spędzić tę zimę z dala od kraju. Radzili Tyrol jako niezbyt różniący się klimatem od Polski. Pierwsza to była przerwa od początku jej pracy. Zostawiła zastępstwo Zofii Eyssymontównie, polecając jej w razie finansowych trudności, by zwracała się do Osuchowskiego. Jemu i wszystkim przyjaciółom swoim poleciła gorąco sprawę Tajnego Nauczania. Jesień spędziła w Tyrolu, w Gries, po Bożym Narodzeniu jednak przeniosła się do Zakopanego, chcąc być bliżej Warszawy, która przeżywała w tym czasie dramatyczne chwile rewolucji. Wróciła na wiosnę 1906. Spodziewano się lada chwili uzyskać pozwolenie na otwarcie Polskiej Macierzy Szkolnej. Jakoż w czerwcu 1906 pozwolenie to nadeszło. I wiadomym już było, które koła warszawskie podejmą już jawnie tajny trud Śniegockiej.

Ale to jest już inny zupełnie rozdział historii.



Nigdy już odtąd żadną pracą nie mogła przejąć się tak namiętnie, jak tym najtrudniejszym w życiu zadaniem. Był to heroiczny okres jej żywota, po którym nastąpiło jakby osłabienie lotu. Zagroziła jej choroba niebezpieczna, nie ta, która nadłamała jej młode siły. Gdy to minęło, brała się do rozmaitych prac społecznych. Przez jakiś czas zajmowały ją wystawy etnograficzne; stroje ludu barwne i bogate chwytaly za serce. Do urządzających jedną taką wystawę w Częstochowie należała sama, ale było to chwilowe zajęcie umysłu.

Wojna r. 1914 zastała ją w Szczawnicy. Nie mogąc zdążyć do Warszawy zatrzymała się we Lwowie i tam przeżyła tę pierwszą nawałnicę. Legiony Piłsudskiego były jakby spełnieniem jej marzeń i nagrodą za pracę ofiarną. Uczniowie jej Tajnych Szkólek byli w nich oficerami, dawali za Ojczyznę młode żywoty. Drugiej, straszniejszej burzy los nie pozwolił jej doczekać.

Wyróżniona orderem „Polonia Restituta” i „Krzyżem Niepodległości”, obdarzona skromną pensją zasłużonych, wiodła, po śmierci męża, cichy żywot ciesząc się każdą chwilą niepodległego bytu narodu, dumna ze wszystkich wielkich czynów swych rodaków, smutna ich błędami i niedociągnięciami. Gasła powoli. Ostatnie jej lata były bardzo ciężkie. Dręczona sklerozą, która męciła jej umysł i osłabiała ciało, znużona życiem, odeszła 12 listopada r. 1934. Na parę dni przed śmiercią, w gorączce, kreśliła jakiś plan organizacji oświatowej, wydawało jej się, że dyktuje komuś jej zarysy... Żałośnie było słuchać!...

*

Dzieci Warszawy, uczcijcie Jej pamięć! Nikt Was nigdy nie będzie kochał tak, jak Ona.

Gdy byłycie opuszczone i zapomniane przez cały świat, Ona, jak wróżka dobra, wyczarowała Wam Tajną Szkołę... Chwila po chwili oddawała Wam swoje życie, aż wylała je kropla po kropli jak czarę ofiarną, Wam i Ojczyźnie.



CYKL: „Z DZIEJÓW OŚWIATY”

(w druku)

Łempicki St. Złote paski na kołnierzu. (Wspomnienia ze szkoły galicyjskiej.)

Radlińska H. Badania regionalne dziejów oświaty.

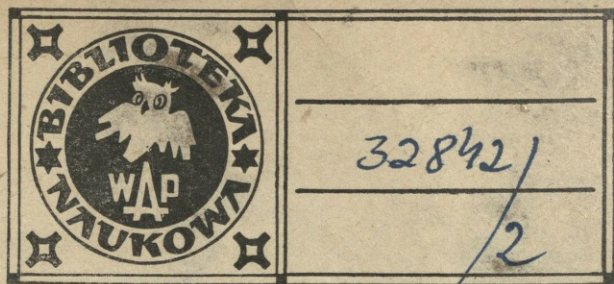
Reymont F. St. Życie i działalność Konrada Prószyńskiego (K. Promyka).

Żarnecka Z. Działalność oświatowa Faustyny Morzyckiej.

Barycz H., Hulewicz J.
Dzieje zawodu nauczycielskiego w Polsce.

N A S Z A K S I Ę G A R N I A

Warszawa, ul. Sienkiewicza 8, tel. 8-75-65.



CENA 100 ZŁ